

Pusto na moim podwórku

Niedawny felieton ABBY (Pauza 396), oraz wystąpienie Prezesa Andrzeja Bialasa (PAUza 399) – skłaniają mnie do zwrócenia uwagi na potencjalną możliwość (być może ją przeceniam) pomocy zarówno w przekuwaniu mieczów na lemiesz, jak i w umacnianiu miejsca oraz roli towarzystw naukowych w obiegu myślowym Polaków.

Nietrudno zgadnąć, że jako wiekowy dziennikarz myślę o mediach. Nie trzeba też przekonywać, wystarczy przypomnieć, że wszyscy dzisiaj odbieramy świat za pośrednictwem mediów; poznanie z autopsji to bardzo mała część naszej wiedzy, margines życiowego doświadczenia.

Jest tak niezależnie od tego, jakim zaufaniem media darzymy, a ponieważ to zaufanie – z różnicowaniem się rynku – maleje, trzeba (i warto) znajdować albo kształtować na tym rynku media, specjalizujące się w określonej tematyce.

Tu parę zdań retrospekcji. Dawno temu (od lat sześćdziesiątych do stanu wojennego) istniało grono „dziennikarzy naukowych”, którzy regularnie spotykali się z uczonymi różnych specjalności na jedno- lub parodniowych sesjach, dowiadując się, co aktualnie stanowi pierwszą linię badań, jakie są główne pytania w czołowych dziedzinach, kto na świecie i w Polsce prowadzi wiodące badania itp. Wracaliśmy z zapasem tematów, utwierdzeni w przekonaniu, że trzeba używać określenia właśnie „nauka w Polsce”, bo nauka z natury jest międzynarodowa. I z poczuciem odpowiedzialności za to, co mówimy naszym odbiorcom o badaniach naukowych i o prowadzących badania ludziach. Istniało niewerbalizowane przeświadczenie, że ludzie uprawiający naukę są autorytetami, dlatego że wiedzą o świecie więcej niż ogół społeczeństwa i że z tego powodu mogą stanowić wzory postępowania – przynajmniej w pewnych sytuacjach.

W radiu i telewizji były wtedy redakcje popularno-naukowe (lub inaczej nazwane, ale tym samym się zajmujące), w gazetach działały poświęcone nauce, których pracownicy specjalizowali się w tym zakresie, analogicznie jak dziennikarze sportowi czy recenzenci muzyczni.

Bieg historii zakłócił ten stan rzeczy. Po Sierpniu 1980 większość dziennikarzy przestało obchodzić, co dzieje się w laboratoriach i bibliotekach. Pamiętam własną irytację, gdy – bez wiedzy i zgody autora (formuła wypisywana na wydawnictwach drugiego obiegu) – puszczono w radiu dyskusję o hipotezach życia w kosmosie, właśnie wtedy, gdy wojsko strzelało do górników w kopalni „Wujek”.

Po 1989 roku – w warunkach wolności słowa – tematyka naukowa nie odzyskała swojego miejsca w mediach, zdana na konkurowanie o odbiorców z dziennikarstwem śledczym ujawniającym afery i z rozliczaniem komunistycznej przeszłości, dotąd niedokonanym zadowalająco.

W ramach niedawnego „Dziedzińca Dialogu” w Warszawie pierwszą z debat poświęconych kolejno najważniejszym częściom życia publicznego była debata o nauce, skupiona głównie na nowych technologiach, skutkach społecznych ich działania, nowych koncepcjach regulacji prawnych dotyczących nauki w Polsce, a zupełnie mało na pilnej – jak się zdaje – potrzebie upowszechniania nauki i tego wszystkiego, co służy „budowaniu społeczeństwa wiedzy”, uznanemu za priorytetowe zadanie.

Odnosząc się bezpośrednio do wezwania ABBY, żeby zacząć „przekuwać miecze na lemiesz”, myślę, że do tego bardzo potrzeba pomocy dziennikarzy zajmujących się mówieniem i pisanem o nauce, tworzących swego rodzaju *lobby* w mediach – zarówno publicznych, jak komercyjnych. Kowalom w kuźni niezbędni są pomocnicy – ci, co dmuchają w ogień, znający warunki niezbędne tym, co kuja.

Oddalając się od metafory, trzeba zapytać, jak owych pomocników znajdować i zatrzymywać przy tematyce naukowej oraz kto mógłby to robić. W relacjach mediów z różnymi środowiskami, instytucjami, organizacjami, inicjatywa w dłuższej perspektywie dzieli się mniej więcej równo. Pierwsze poszukują tematów znaczących w publicznym życiu i atrakcyjnych w odbiorze społecznym (to ostatnie kryterium zredukowało się niestety do sensacji pojmowanej jako coś wyjątkowego nie w dosłownym znaczeniu, czyli oryginalnego, prekursorskiego, jedyne, ale przez drastyczność, budzenie grozy, odrazy albo – co gorsza – złych emocji, do nienawiści włącznie).

Można jednak przypuszczać, że dziennikarstwo naukowe, gdyby się odrodziło w zauważalnym wymiarze, byłoby mniej narażone na działanie wymienionych pokus po prostu dlatego, że ludzie nauki, podzieleni światopoglądowo i politycznie jak wszyscy Polacy, przyzwyczajeni są do kontrolowania emocji w kontaktach wzajemnych i w wystąpieniach publicznych, w każdym razie do podporządkowywania emocji argumentom, co oczywiście nie zawsze w pełni się udaje. Toteż apel ABBY o przekuwanie mieczów na lemiesz wydaje się w tym środowisku – z pomocnym udziałem zaangażowanych w kuźni dziennikarzy – bardziej realny niż gdzie indziej.

Drugi z wymienionych na wstępie felietonów – o towarzystwach naukowych i potrzebie nadania społecznej rangi ich cennej działalności, przypomniał mi niedysyjsze boje (dyskusje z ludźmi nauki) o prawo dziennikarzy do uprawiania „publicystyki naukowej”, tj. pisanie (a z czasem mówienie w telewizji), co sądzi o rozmaitych sprawach z zakresu organizacji badań, sposobów oceny wyników, ewentualnego mecenatu, finansowania itp. Trudno uwierzyć, że kiedykolwiek odmawiano dziennikarzom takiego prawa, sprowadzając ich do roli tuby pomiędzy światem nauki i społeczeństwem. Może był to jeden z przejawów ograniczania wolności jednostki w minionym systemie? Rozmawialiśmy o tym w Klubie Dziennikarzy Naukowych Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich jeszcze w latach siedemdziesiątych XX wieku, a gdy publicystyka naukowa, niejako automatycznie, zyskała prawo obywatelstwa, historia zepchnęła ją na daleki plan zainteresowań, o co nikt wtedy nie miał pretensji.

W pierwszym ćwierćwieczu XXI wieku, niezależnie od aktualnych zapętleń politycznych, a pamiętając, że nauka nie jest narodowa, że będzie coraz bardziej globalna, mimo tendencji odśrodkowych w różnych miejscach przede wszystkim Europy, choć nie tylko, potrzeba zarówno dobrej i śpiesznej informacji o tym, co dzieje się w pracowniach uczonych, także na uniwersytetach, przeżywających istotne przemiany, jak i opinii o tym, światłej krytyki i wskazówek dla odpowiedzialnych za naukę polityków. Staranie o to może być dla obu stron satysfakcjonujące.